

Najlepsi z najlepszych

Nagrody Ministra Kultury i Sztuki I i II stopnia przyznawane są co dwa lata najwybitniejszym twórcom polskiej kultury. Redakcja nasza zwróciła się do kilku spośród tegorocznych laureatów nagrody I stopnia z prośbą o wypowiedzi na temat ich działalności twórczej, projektów i marzeń z nią związanych.

Nagroda dla artysty to awansowanie jego codziennej krzątania

STANISŁAW SIKORA — artysta rzeźbiarz — mieszkający w Warszawie, znany jest czytelnikom „Zielonego Sztandaru” jako twórca medalu „Order Wdzięczności Społecznej”, który już dwukrotnie przyznawany był przez naszą Redakcję działaczom szczególnie zasłużonym w pracy dla środowiska wiejskiego. Ze szczególnym więc zadowoleniem składaliśmy St. Sikorze gratulacje z powodu uzyskania przez niego nagrody I stopnia Ministra Kultury i Sztuki przyznawanej co dwa lata na Święto Odrodzenia Polski — za całokształt twórczości w dziedzinie rzeźby i medalierstwa.

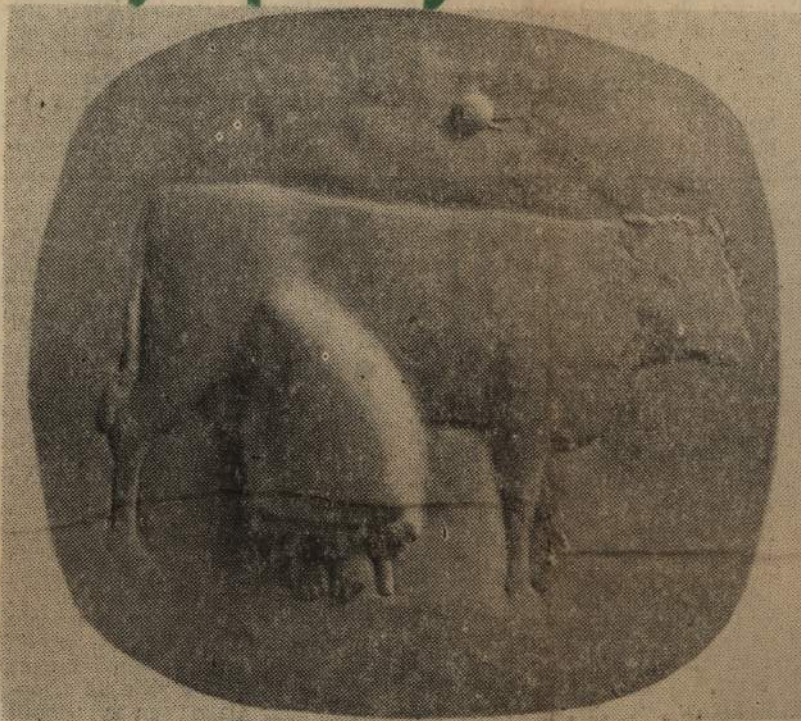
● Czy jest Pan zadowolony z przyznanej nagrody?

— Oczywiście. Tym bardziej, że nie spodziewałem się jej. W

życiu otrzymałem już niejedną nagrodę. I to nie tylko krajową. Jednakże nagroda państwowa dla artysty jest ważnym wydarzeniem. Jest ona jak gdyby awansowaniem jego codziennej krzątania do spraw rangi ogólnonarodowej. I to cieszy. Zachęca również do dalszej pracy.

● Czy mógłby Pan coś więcej powiedzieć o swojej twórczości?

— Byłoby bardzo trudno wymienić moje wszystkie rzeźby i medale. Powiem tylko, że moje prace są w 22 muzeach lub większych zbiorach krajowych oraz 5 zagranicznych. Jestem twórcą pomnika w miejscu b. hitlerowskiego obozu koncentracyjnego w Mauthausen w Austrii. Pierwszą nagrodę międzynarodową otrzymałem za wykonanie medalu z okazji 700-nej rocznicy urodzin poety włoskiego Dantego, chociaż ubiegało się o nią kilkuset artystów z całego świata.



„Nasze czasy” — medal Stanisława Sikory

Ostatnio wykonałem medal upamiętniający 30-lecie wyzwolenia Polski: otrzymałem za tę pracę jedną z głównych nagród. Prezydent m. st. Warszawy wręczył prezydentowi Francji — V. Gi-

scardowi d'Estaingowi mojego autorstwa medal na 30-lecie wyzwolenia Warszawy. Kilkakrotnie też był nagradzany mój medal pod tytułem „Nasze czasy” (patrz zdjęcie).

● Ten właśnie medal jest jakby artystycznym uogólnieniem chyba najistotniejszych problemów naszej epoki. Latający sputnik, który jest szczytem ludzkiej techniki i wiejska kobieta, matka, dojająca krowę, jak przed tysiącem czy może nawet tysiącami lat, nasuwają mnóstwo refleksji. Sugerują jednocześnie, że do tego typu skojarzeń zdolni są ludzie, którzy znają wieś i którym ta wieś jest szczególnie bliska.

— Ma pani pełną rację. Ja właśnie pochodzę ze wsi. Ze Stryszawy koło Suchoj Beskidzkiej. Mam dużo przyjaciół również pochodzących ze wsi. Przy okazji warto przypomnieć czytelnikom „Zielonego Sztandaru”, że jestem autorem pomnika „Czyn chłopski”, znajdującego się przed gmachem Naczelnego Komitetu ZSL w Warszawie. Wykonałem też odznakę przyznawaną rocznie przez „Tygodnik Kulturalny” reżyserowi najlepszego spektaklu teatralnego.

● Czy utrzymuje Pan kontakty ze swoim środowiskiem?

— Jak najbardziej. Od wielu już lat jestem członkiem grupy literackiej w Żywcu pod nazwą „Gronie”. Bo oprócz rzeźby, zajmuję się również poezją. Kiedyś pisałem nawet bardzo dużo wierszy. Czasami nawet myślę, czy dobrze zrobiłem, że zająłem się głównie rzeźbą. Może w zakresie poezji byłbym więcej w życiu zdziałał? Ostatnio piszę znacznie mniej. Bywam jednak na posie-

(DOKOŃCZENIE NA STR. 4)

Najlepsi z najlepszych

Nagroda dla artysty

DOKOŃCZENIE ZE STR. 1)

deniach grupy. Kilka moich wierszy za pośrednictwem „Groni” ukazało się w prasie literackiej. Miałem też spotkania literackie w terenie i w samej Warszawie, gdzie również działa sekcja grupy „Gronie”. Na spotkaniach czytałem moje wiersze oraz „myśli i spostrzeżenia własne”.

Czasem przy pracy czy nawet przy kawie coś mi się kojarzy. Chwytam za pióro i zapisuję. Właśnie te myśli i spostrzeżenia to jest: moje hobby. Tematyka ich jest bardzo różna.

Nie wiem co mnie jeszcze zafascynuje

Rozmowa z Barbarą Krafftówną — wybitną aktorką teatralną i filmową

● Jak przyjęła Pani wiadomość o nagrodzie?

— Przyznam, że tak naprawdę dotarła do mojej świadomości z pewnym opóźnieniem. Może dlatego, że przypadała na „gorący” okres w mojej pracy. Byłam właśnie między jednym a drugim wyjazdem do Łodzi, z którą wiąże mnie ostatnio i teatr, i film. Biorę udział w próbach nowej sztuki Mrożka „Garbus”, którą reżyseruje Dejmek w Teatrze Nowym. A poza tym nagrywam piosenki do filmu dla dzieci, realizowanego przez Studio „Semafor”. Jest to urocza, kukielkowa „Opowieść o klaczu Leokadii” — szkapie dorozkarskiej, przewidziana jako serial telewizyjny. Mogę więc powiedzieć, że „ocknęłam się” po przeczytaniu zawiadomienia co najmniej po paru godzinach, kiedy wróciłam ze studia radiowego, już w Warszawie, z nagraniem „Lata z radiem”. Zresztą chyba często tak się dzieje, że w pierwszej chwili czujemy się zaskoczeni, a dopiero potem przychodzi czas na radość.

● Oglądamy Panią w rolach komediowych i dramatycznych, w teatrze, kinie, TV, nieobcy jest Pani kabaret, estrada. To imponująca wszechstronność, ale jest chyba taki rodzaj twórczości artystycznej, w którym czuje się Pani najlepiej?

— Już w szkole teatralnej stałam „zaszufladkowana” jako aktorka komediowa, charakterystyczna. Można się nauczyć techniki wykonywania określonego typu aktorstwa, a więc opanować tajniki odpowiedniego poruszania się, ustawiania głosu itp., ale nie można się nauczyć np. wiskoni. Z tym się człowiek rodzi. Wystarczy, żeby

● Jakie ma Pan plany na przyszłość?

— Ostatnio już od dwóch lat, a szczególnie od trzech ostatnich miesięcy, pracuję nad monumentalną „Kolumną Pokoju”.

Planów mam bardzo dużo. Wiem, że muszę coraz lepiej organizować swój czas, żeby zrobić więcej. Dlatego też ostatnio mniej niż dawniej pracuję społecznie. Spośród wielu ważnych zamierzeń bardzo leży mi na sercu nagrobek dla mojej matki. Bardzo chciałbym go wykonać sam. (W. P.)

np. Kobuszeński pojawił się na scenie i już ludzie się śmieją.

Oczywiście, trzymanie się zawsze określonego typu ról jest niebezpieczne. Jak każda jednostronność. Konieczna jest gimnastyka zawodowa, a więc próbowanie swych sił w różnych rodzajach aktorstwa. Tym bardziej że każdy z nich ma swoją odrębną technikę.

● Bardzo mocno akcentuje Pani sprawę warsztatu aktorskiego.

— Bo jego możliwie wcześnie opanowanie decyduje o późniejszych losach aktora. Miałam szczęście, że rozpoczęłam naukę zawodu pod kierunkiem znakomitego pedagoga Iwo Galla. W Studio Dramatycznym, które prowadził, wszyscy mieli możliwość, a nawet obowiązek „sprawdzić się” w różnych gatunkach i rodzajach sztuk, począwszy od klasycznego repertuaru, a skończywszy na sztukach eksperymentalnych, łamiących tradycyjne kanony.

● Czy jest jakaś rola teatralna lub filmowa, którą chciałaby Pani zagrać, rola o której się marzy?

— Sądzę, że każdy aktor przechodzi przez etap, kiedy kobieta chciałaby zagrać np. Ofelię, a mężczyzna Hamleta, inaczej mówiąc: jakąś rolę z wielkiej światowej literatury dramatycznej. Reszta jest niekonkretna. Można mówić co najwyżej, że chciałoby się zagrać pewien typ człowieka, albo określoną sytuację. Nie mogę przecież przewidzieć, co mnie jeszcze zafascynuje i w tym widzę największy urok aktorstwa. Właśnie tę nieustanną zmienność doznaję, inspiracji, które niesie literatura, inni ludzie, codzienne doświadczenia zawodowe. (M. B.)

ciągu żył. Na przykład łaciny nauczyłem się nie w szkole, gdzie konieczność wkuwania gramatyki była — moim zdaniem — sposobem na ujarzmianie temperamentu młodych ludzi, ale czytając i tłumacząc.

● W swoich książkach powołuje się Pan niejednokrotnie na cenne

starodruki, po które sięga Pan po prosiu na półkę. Jest też Pan także zapalonym bibliofilem?

Tak, jestem opętany miłością do ładnych albo starych ksiąg. Należę nawet do Towarzystwa Przyjaciół Książek, w którym pełnię funkcję wiceprezesa Zarządu Głównego. (M.B.)

Folklor — wielki kapitał kultury narodowej

Mówi mgr Jadwiga Sobieska — muzykolog

— Bardzo się cieszę z Nagrody Ministra Kultury i Sztuki — mówi Jadwiga Sobieska — ale jednocześnie czuję się trochę zawiedziona. Bo kiedy pomyślę o swoim życiu, to muszę przyznać, że miałam dużo szczęścia. Zajmowałam się dziedziną, która mnie po prostu pasjonowała. Nie musiałam oddzielać spraw zawodowych od prywatnych. Pracę traktowałam nie jak ciężki obowiązek, ale jak prawdziwą przyjemność. Sprawiała mi ona wiele radości. A teraz jeszcze za to nagroda...

Oczywiście, przyjmuję ją chętnie, ale nie tylko we własnym imieniu. Na „wybitne osiągnięcia w gromadzeniu i opracowaniu polskiego folkloru muzycznego” (tak brzmi uzasadnienie Komisji Nagród) złożył się bowiem nie tylko mój wysiłek. Zawsze pracowaliśmy razem z mężem — docentem Marianem Sobieskim. Niestety, już zmarł, nie doczekał nagrody.

Myśmy z mężem zaczęli pracę — aż wstyd przyznać — w 1934 r., jako studenci muzykologii w Poznaniu. Na rowerach objechaliśmy prawie całą Wielkopolskę, odnaleźliśmy 200 dudziarzy i kobziarzy. Do nagrań używaliśmy fonografu, bo o magnetofonie jeszcze się nam wtedy nie śniło. Niestety, całe nasze archiwum uległo zniszczeniu w czasie wojny. Zaraz jednak po wyzwoleniu, już w sierpniu 1945 r., wznowiliśmy badania, traktując je jako prywatną pasję.

Naszą pracę doceniły władze. Co więcej — zrozumiały w ogóle potrzebę ochrony folkloru, jako wielkiego kapitału kultury narodowej. W 1950 r., na mocy decyzji rządowych, rozpoczęła się ogólnopolska akcja zbierania folkloru muzycznego. Mąż został jej kierownikiem naukowym, ja mu pomagałam, a pracowało kilka ekip, ogółem od 80 do 100 osób, przeważnie asystentów i

studentów. Do 1955 r. nagrano ok. 55 tys. pozycji. W sumie w archiwum Instytutu Sztuki PAN, gdzie ostatnio pracowaliśmy, znalazło się 70 tys. pozycji — pieśni ze wszystkich regionów kraju.

Potem trzeba było ten bogaty materiał opracować. Wydałiśmy kilka zbiorów pieśni z naukowym komentarzem, napisaliśmy wiele artykułów do różnych periodyków krajowych i zagranicznych, przygotowaliśmy też popularne publikacje dla potrzeb zespołów amatorskich. Pracę tę kontynuują dziś nasi wychowankowie. Ja też biorę w niej udział, chociaż już od kilku lat jestem na emeryturze.

Zbieranie folkloru stało się możliwe dzięki samym właścicielom wsi. Wykazali oni dużo dobrej woli, poświęcili swój czas, pokonywali opory pamięci. Byli wśród nich ludzie bardzo starzy, urodzeni nawet w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku. I teraz, proszę pomyśleć, że osiemdziesięcioletnia babcia przypomina sobie i śpiewa kilkadziesiąt pieśni. To przecież ogromny wysiłek. Przede wszystkim jednak zasługą ludzi wsi było umiłowanie muzyki, pielęgnowanie tradycji, przechowywanie folkloru. Dzięki temu mogli go nam przekazać.

Cały ten mój, a właściwie nasz dorobek, stał się możliwy dzięki sprzyjającej polityce kulturalnej. Jak nie ma odpowiedniego klimatu, to człowiek może się po uszy urobić i nie osiągnie zadowalających efektów. Nasze władze podjęły wkrótce po wojnie wielką akcję zbierania folkloru, kiedy było jeszcze wiele zniszczeń, braków, niedostatku. Rozumiały jej znaczenie i rozumieją ją także dziś, o czym najlepiej świadczy przyznanie nagrody. Dlatego sprawiła mi ona podwójną przyjemność.

(bp)

Nie wiem co mnie jeszcze zafascynuje

Rozmowa z Barbarą Krafftówną — wybitną aktorką teatralną i filmową

● Jak przyjęła Pani wiadomość o nagrodzie?

— Przyznam, że tak naprawdę dotarła do mojej świadomości z pewnym opóźnieniem. Może dlatego, że przypadła na „gorący” okres w mojej pracy. Byłam właśnie między jednym a drugim wyjazdem do Łodzi, z którą wiąże mnie ostatnio i teatr, i film. Biorę udział w próbach nowej sztuki Mrożka „Garbus”, którą reżyseruje Dejmek w Teatrze Nowym. A poza tym nagrywam piosenki do filmu dla dzieci, realizowanego przez Studio „Semafor”. Jest to urocza, kukielkowa „Opowieść o klaczy Leokadii” — szkapie dorozkarskiej, przewidziana jako serial telewizyjny. Mogę więc powiedzieć, że „ocknęłam się” po przeczytaniu zawiadomienia co najmniej po paru godzinach, kiedy wróciłam ze studia radiowego, już w Warszawie, z nagraniem „Lata z radiem”. Zresztą chyba często tak się dzieje, że w pierwszej chwili czujemy się zaskoczeni, a dopiero potem przychodzi czas na radość.

● Oglądamy Panią w rolach komediowych i dramatycznych, w teatrze, kinie, TV, nieobcy jest Pani kabaret, estrada. To imponująca wszechstronność, ale jest chyba taki rodzaj twórczości artystycznej, w którym czuje się Pani najlepiej?

— Już w szkole teatralnej zostałam „zaszufladkowana” jako aktorka komediowa, charakterystyczna. Można się nauczyć techniki wykonywania określonego typu aktorstwa, a więc opanować tajniki odpowiedniego poruszania się, ustawiania głosu itp., ale nie można się nauczyć np. wiskoni. Z tym się człowiek rodzi. Wystarczy, żeby

np. Kobuszewski pojawił się na scenie i już ludzie się śmieją.

Oczywiście, trzymanie się zawsze określonego typu ról jest niebezpieczne. Jak każda jednostronność. Konieczna jest gimnastyka zawodowa, a więc próbowanie swych sił w różnych rodzajach aktorstwa. Tym bardziej że każdy z nich ma swoją odrębną technikę.

● Bardzo mocno akcentuje Pani sprawę warsztatu aktorskiego.

— Bo jego możliwie wcześnie opanowanie decyduje o późniejszych losach aktora. Miałam szczęście, że rozpoczęłam naukę zawodu pod kierunkiem znakomitego pedagoga Iwo Galla. W Studio Dramatycznym, które prowadził, wszyscy mieli możliwość, a nawet obowiązek „sprawdzić się” w różnych gatunkach i rodzajach sztuk, począwszy od klasycznego repertuaru, a skończywszy na sztukach eksperymentalnych, łamiących tradycyjne kanony.

● Czy jest jakaś rola teatralna lub filmowa, którą chciałaby Pani zagrać, rola o której się marzy?

— Sądę, że każdy aktor przechodzi przez etap, kiedy kobieta chciałaby zagrać np. Ofelię, a mężczyzna Hamleta, inaczej mówiąc: jakąś rolę z wielkiej światowej literatury dramatycznej. Reszta jest niekonkretna. Można mówić co najwyżej, że chciałoby się zagrać pewien typ człowieka, albo określoną sytuację. Nie mogę przecież przewidzieć, co mnie jeszcze zafascynuje i w tym widzę największy urok aktorstwa. Właśnie tę nieustanną zmienność doznań, inspiracji, które niesie literatura, inni ludzie, codzienne doświadczenia zawodowe. (M. B.)

Miłość do książek i historii

Rozmowa z Aleksandrem Bocheńskim

— wybitnym publicystą, eseistą i tłumaczem

● Na powstanie „Wędrówek po dziejach przemysłu polskiego”, książki, za którą otrzymał Pan nagrodę, złożyły się wiedza i zainteresowania zarówno techniczne, jak i historyczne. Wiem, że ukończył Pan Wyższą Szkołę Techniczną i że pracował Pan przez wiele lat w przemyśle, ale głęboka wiedza historyczna, to chyba wynik zupełnie samodzielnych studiów?

— Człowiek powinien znać swoją przeszłość. Jest to kwestia ambicji narodowych, więc powiedziałbym nawet — musi kochać historię swego kraju. Sądę, że jest ona znacznie ciekawsza i piękniejsza niż w szkolnych podręcznikach. Nie ryzykowałbym twierdzenia, że znam ją dobrze, po prostu znam te jej fragmenty, które — moim zdaniem — nieśluszenie pozostają w cieniu wielkich bitew czy wiekopomnych przeobrażeń kulturalnych. Mam na myśli zaponniany kompletnie rozdział naszej przeszłości gospodarczej — bardzo interesujący i barwny. Stąd też moja książka.

● Gdy padają słowa przemysł, gospodarka — trudno skojarzyć je z literaturą, a przecież jest to książka porywająca, napisana piękną polszczyzną, pełna humoru, ról się w niej od ciekawych anegdot, ciekawych wydarzeń podanych w błyskotliwej formie.

— Tak już chyba jest, że autor nie potrafi mówić o wadach swojej książki, a o zaletach nie może. Gdybym jednak miał spróbować, to prawdopodobnie zmieniłbym tytuł książki tak, by nie pojawiło się w nim słowo przemysł, które może zniechęcić czytelników, a mnie chodziło przecież o historię popularną. Do anegdot mam po prostu pamięć i nie potrafię się bez nich obejść w swojej publicystyce. Okazuje się jednak, że taka forma nie wyklucza przydatności tej książ-

ki dla fachowców. Inżynier Tadeusz Sędzimir, jeden z największych żyjących polskich wynalazców, zamieszkały w Stanach Zjednoczonych, fundator Polskiej Szkoły Technicznej w USA, wprowadził „Wędrówki po dziejach przemysłu polskiego” jako wykład obowiązuający.

● Godzi więc Pan znajomość nauk ścisłych z rozległą wiedzą humanistyczną. Pisze Pan przecież książki bardzo różnorodne, zarówno pod względem formy, jak i treści, że wymienię „Dzieje głupoty w Polsce”, „Nienawiść i miłość La Rochefoucauld”, „Tropem polskiej techniki” i inne. Czy szala pańskich zainteresowań przechyliła się w stronę nauk ścisłych, czy też silniejsze są pasje i upodobania literackie, a szerzej mówiąc, humanistyczne?

— Myślę, że każdy technik w głębi duszy chce być humanistą. Jest to może podświadoma samoobrona przed widzeniem świata wyłącznie przez pryzmat praw fizycznych czy matematycznych. Jedno nie wyklucza, oczywiście, drugiego. Do zajęć technicznych zmusiło mnie w pewnym sensie życie, a zamiłowania humanistyczne rozwijałem jako swoje powołanie. Zaczęło się to wcześnie, bo jako publicysta „zadebiutowałem” w wieku 10 lat, wydając wspólnie ze starszym bratem „Głos Domu”.

● Jest Pan również tłumaczem „Pamiętników” Saint Simona i kardynała de Retza. Czyżby świadczyło to o pańskich zainteresowaniach lingwistycznych?

— Znam język francuski, ale lingwistą w pełnym tego słowa znaczeniu nigdy nie byłem. Nie znoszę gramatyki i uważam, że system nauczania języków zarówno starożytnych jak i nowożytnych był i jest w dalszym